№ 6. Warszawa, dnia 25 Stycznia (6 Lutego) 1886 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

Z LITERATURY CZESKIEJ.

GDY CHMURY CIĄGNĘŁY.

POEZYE

Jarosława Vrchlickiego.

Biblioteka Salonowa N. 38. Nakładem Otty. 1885 r.

PRZEZ

MIRIAMA.

Najnowszy ten tom (licząc chronologicznie), stanowi jakby ciąg dalszy wydanego przed parą laty zbiorku poezyi: *Co żywot dał.* I tu mamy jedynie szereg tych uczuć i myśli, które wrażenia życiowe nasunęły poecie. Jest-to jakby spowiedź, dziennik poety, u którego każde zdarzenie, każda pora dnia i roku, każda radość i smutek słowiczą odbija się pieśnią. On musi w ten sposób notować swe wrażenia, bo pieśń kipi mu w łonie i mimowoli na usta wybiega, bo on tak zrósł się już z mową bogów, że ona powszednią mu strawą, choć jak ambrozya słodką, a jak nektar upajającą.

Cykl rozpoczyna się przepysznym prologiem, w rodzaju starożytnych chórów w tragedyach greckich, w którym poeta w cudnych obrazach, porównywa życie ludzkie z rzeką, naprzód, jako małą strugą, w cienistych gąszczach odwiecznych praborów (to lata dziecięce), rzucającą się potem, jako dziki potok, przez górskie skały, głazy i rozpadliny (to wrząca młodość) i, nakoniec, szerokim nurtem, zwolna, spławnie kierującą się ku morzu (to wiek dojrzały).

Po tym wspaniałym wstępie, poeta rzuca nam *garść promyków*, garść tych jasnych błysków, które bądź jako orzeźwiający, pełny woni poranek wiosenny (Ranek), bądź jako serdeczne wspomnienie lat spędzonych pod okiem kochającej matki (*Wiersze z przeszłości*), bądź jako wesoła piosnka w gronie towarzyszy (*Toast starożytny* i *Toast współczesny*), bądź wreszcie jako cudna harmonia sztuki i przyrody (*Dzwony i skowronki*), rozpędzały ciemne chmury zwątpień na czole wieszcza, myśliciela i grecką pogodę wlewały mu w duszę.

Ustępy to niewypowiedzianej słodyczy i świeżości, serce poety odbija się w nich jak w zwierciadle. Barwy, tony, błaski, wonie, wszystko igra tu i w tęczowe układa się smugi, w olbrzymią spływa harmonię.

Dział drugi zawiera te najtkliwsze wylewy uczucia, te najtajniejsze echa strun serdecznych, które poeta poświęca *tylko swej Ludmile.* Wszystko tu tak delikatne, tak powiewne, jak promienie księżyca jasnemi smugami padające przez gęstwę jaśminowych krzaków, wszystko tak miękkie i tkliwe jak ostatnie westchnienie słowika w noc majową, wszystko tak wrzące i ogniste, jak Wezuwiusz wybuchający. Trudno zaiste opowiedzieć, co tu wypowiedział poeta-kochanek, bo któż pieśń słowika opowie? Zamiast tego, choć w prozaicznym przekładzie przytoczymy jeden z najpiękniejszych tu taj ustępów: *Notturno*:

„Daj ziemi całej spać i tylko do snu weź ten trelik ptaka drżący, ostatni, gdzie swoją duszę tchnął, ten ton niech drży, a dzwoni, a śpiewa w twych snach miłośnie a tęskno przez całą, całą noc, zanim błyśnie świt! Daj też i słońcu spać, tobie niech do snu lśni jego ostatni płomienny odblask w setnych promieniach, ten blask niech płoszy cienie i złoci twe sny miłośnie przez całą, całą noc, zanim błyśnie świt! Daj i miłości spać; a do snu tylko weź ten pocałunek mój wrzący, ostatni, niechaj ci brzmi przez całą, całą długą noc; gdy błyśnie świt, sto innych na twych ustach już będzie znów drżeć!"

Dział trzeci: *Zwykłe motywy*, zawiera kilka głębokich refleksyi poety, wywołanych powszedniemi zdarzeniami życia. Podziwiać trzeba dziwną potęgę ducha, z jaką Vrchlicki w starych, oklepanych już zda się przedmiotach, nowe zupełnie odkrywa strony, nowych uczuć i myśli oblewa je światłem. Do najpiękniejszych wierszy należą tu

bez zaprzeczenia: *Podróże, Stare domy, Wystrzał* i *Nieprzyjaciel.*

Oto przedostatni:

WYSTRZAŁ.

Noc była pełna gwiazd i modrych cieniów;
Świat cały zdawał się być wielką baśnią,
Cisza czuwała tylko nad nim śpiącym.
Czas płynął wolno w tej błękitnej nocy,
Nie przerywany turkotaniem wozów,
Ani przechodniów późnych, ciężkim krokiem.
W tej ciszy, która większa przed świtaniem,
Równa się głębią swoją głębi morza,
Naraz padł wystrzał śród drzew, gdzieś w ogrodzie.
Potem znów cisza. Przez chwilę się zdało,
Że przerażony czas wstrzymał się w drodze,
Gwiazdy zadrżały, wielkie modre cienie
Zczerniały, cały świat był jak mogiła.

Jam stał u okna, mówiąc do swej duszy:

Znów jedno życie zmęczone, znękane,
Rzuciło gwiazdom w twarz swoją pogardę;
Z tej wielkiej łodzi, którą płyniem wszyscy,
Mąż jeden upadł w ocean wieczności,
Z własnej swej winy, a łódź jedzie dalej,
Fale się chmurzą i gwiazdy się iskrzą.
Ta z pistoletu kula, która w łono
Ciche się wbiła, ma być odpowiedzią
Na burze, smutki, na walki i nudę,
Na wstyd, żal, zbrodnię, wyrzuty i nędzę.
Lecz strzał padł darmo, rozwiązaniem nie jest;
A choćby wielka była siła bólów
I nieszczęść, przecież na tym nędznym świecie,
Są jeszcze siwe włosy starych matek,
Łzy żon i jęki, i w dal wyciągnięte
Z rozpaczliwym krzykiem, białe ręce dzieci.

I w ciszy głuchej tej błękitnej nocy,
Jam prosił owe siwe włosy matek,
Łzy żon i ręce dzieci wyciągnięte,
By odpuściły słabym samobójcom,
Co nie wspomnieli o nich w strasznej chwili;
I nie przestałem, póki z ciszą w duszę
Nie padł spokój jak wielkie przebaczenie.

Dział następny: *Cienie w duszy*, jest przeciwieństwem pierwszego. Jak tam, wszystkie jasne błyski życiowe, tak tu zebrał poeta wszystkie te niespodziane nagłe smutki i zwątpienia, które bez powodu ogarniały wrażliwą jego duszę, zakrywając niby ciemną chmur oponą złote słońce nadziei i wiary w przyszłość.

„Idziesz śród młodej zieleni i patrzysz, jak tłoczą się ku światłu pączki na nagiej gałązce, jak stokrotkom łąka ledwo starczy, jak tłumem do słońca garną się dzieci. Śmiech, śpiew i radość! Nagle w twojej duszy cień wielki wstaje, podnosi się, rośnie i naraz mąci w tobie całą radość wiosny, wszystko ci się staje takiem powszedniem, zwykłem, prostem. Stary smutek nagle spłoszony na usta ci biegnie, wszystko, czem kiedykolwiek zbryzgałeś duszę swoją, łabędzia białego, jako cień wielki przed tobą się kołysze i z dziką, tygrysią siłą spokój porywa ci z łona". (*Smutek na wiosnę*). Prześliczne tu są ustępy: *Meduza, Pieśń, Zbłąkana jaskółka, Ktośmy, co wiemy?* oraz cudna allegorya *Argonauci.*

Dział ostatni, noszący ten sam tytuł, co jeden z działów zbiorku: *Co żywot dał*, mianowicie *Stracone kroki*, zawiera nowy cykl pessymistycznych refleksyi, nasuniętych poecie przez różne wrażenia życiowe. Rozpoczyna je nieco polemiczny, a przecież o najszlachetniejszej tendencyi, zwrot do przeciwników poety: „Więc idźmy dalej, kto z nas więcej straci, wy w swych obelgach, a ja w swojej pracy." Podobną myśl, jak we wspomnianym wyżej ustępie ze *Sfinksa*: „Nie, nie zamilkniesz, burzliwa ma pieśni", wypowiada tutaj poeta w wierszu wpisanym do pamiętnika młodemu poecie: „Ty w zniechęceniu rzucasz pióro i mówisz: U nas już stracone wszystko; kraj jedną raną, przyszłość w mgle ukryta, mąż o żelaznej woli jest dziś słabem dzieckiem; cóż tu pomoże pieśń, ten kwiatek polny? Lepiej milczeć niż śpiewać w tej dysharmonii! A ja ci mówię: Gdy chorego głowa pęka z gorączki, z ziół przyłożonych na płonące czoło, czy wiesz ty, które ulgę mu przynosi? Może to mały, nędzny listek babki! A czy wiesz napewno, że twej pieśni rym nie będzie właśnie tym błogosławionym listkiem?"

Szlachetne serce naszego poety odbija się jeszcze wyraźniej w charakterystyce świętych zadań dzisiejszej poezyi, podanej przezeń w wierszu *Pozytywizm.* Smutny świat dzisiaj, lecz nadziei tracić nie należy. *Co nasze dziś?* Mało bardzo, nic prawie, a jednak i to zbawić nas może, gdy tylko zechcemy. Siły! odwagi i dobrej woli!

Epilog charakteryzuje dosadnie wielki duch Vrchlickiego, jako natchnionego wieszcza, ofiarnika ludzkości:

„Może inny poeta przyjdzie w lepszych czasach i znów pieśń wiosny starą śpiewać będzie, czar w oczach dziewcząt, ziemię w złotych kłosach i żar natchnienia, który w gronach płonie; i będzie śpiewał odwieczną pieśń bólu, od której tysiąc serc wre tu i pęka, pot skroni pod jarzmem, w którem idziem wszyscy i słodycz, gdy zmarszczki ściera miękka ręka. I będzie śpiewał, jak ciepłem komin dysze, co radości kryje w sobie powrót do domu, a co goryczy, samotności puhar, gdy w wieczór idziesz nagich drzew aleją. Może pieśń o tem będzie śpiewał inną, może go pobożniejsze słuchać będą tłumy, może znikną przesądów cienie i zawiści, które mnie i innych dręczyły bez końca. Ta pieśń ludzkości, ciągła, niewyśpiewana, w różnych wciąż formach, a z jednaką treścią, jaśniejąca jak słońce, czarowna jak kobieta, a miła jako w puszczy zdrój przeczysty; ta pieśń wieczna zaiste warta tego, by dla niej paryasem zostać w hałaśliwym tłumie, żyć sobie tylko i choćby nam wszystko wzięto, dumnie założyć ręce, lecz nie schylić głowy!"

TRZY GODŁA.

I.

Jak sięgnie myśl nasza, dobiegną wraz oczy,
Pod trzema godłami ku słońcu świat kroczy;
Ten z musu, ów chętnie —
W łachmanach, odświętnie
Odziany, jak który tam może —
Przez chwasty i głogi — śród ciągłej biesiady —
Miliony na ziemi zaznaczą na ziemi swe ślady:
W łzach, we krwi, w uśmiechu,
Śród cnoty lub grzechu,
Szczęśliwi, gdy miną bezdroże!

Czy lód im Północy serc mrozi porywy,
Czy Wschodu czarowne płomienią je dziwy,
Fal morskich obszary,
Lub puszcze Sahary —
Duch, pęta połamać się stara;
I w drodze, czy kwiaty są na niej czy ciernie,
Rad każdy spogląda z ufnością i wiernie,
Gdzie w ogniach się płoni
Krzyż, co nas obroni
Od pokus żywota — to Wiara!

Kto przy tem trwa godle, choćby go świat cały
Oczernił potwarzą — on wyjdzie z niej biały,
Jak lilia co jezior brzeg krasi;
I choćby mu wrogi,
Przemocą swe bogi
Pod strzechę chat wparły —
On, nawet umarły,
W źrenicach swych Znicza nie gasi!
A przetrwa boleści — tysiączne katusze —
Połamią mu ciało, lecz sięgnąć po duszę...

Eh, trudno! krzyż strzeże... zazdrosny,
Kto przy nim dostoi,
Ten, u szczęść podwoi,
Już mieszka na poły,
I między anioły,
W kraj pójdzie wesela i wiosny!

* * *

Ah, biedni co wiary stracili zaranie;
Mrok takim, na zawsze, do źrenic zostanie
Przymarły — z czół zejdzie blask święty;
A serca mi hydry, poszarpią i węże,
I krew im się własna na zgubę sprzysięże,
I każdy z nich skona — przeklęty!

II.

Jak sięgnie myśl nasza, dobiegnąć śmią oczy,
Pod trzema godłami ku słońcu świat kroczy;
Ten z musu, ów chętnie
W łachmanach, odświętnie —
Szczęśliwi i ci co łzy leją —
Pod strzechą wieśniaka, w pałacu bogacza,
Czy drogą kto bieży, czy z prostej wciąż zbacza —
Tej ziemi potężni
I w walce zaciężni,
Lecz wszyscy się karmią — Nadzieją.

Ah, nawet gdzie nędze obrały siedlisko,
Tam jeszcze głos szepce: nadzieja już blizko!
Bez chaty — bez chleba —
Czarowne jej nieba
Śnią ciągle i każdy się łudzi...

Gdzie groby bez znaku, a ślepych czerń podła,
Co drogie omija — na drogie plwa godła —
Choć szumi styczniowa zawieja;
Do mogił bez krzyża,
Duch biały się zbliża,
I z wieńcem na skroni,
Od chwastów je broni:
To z wiary powstała Nadzieja!

* * *

III.

Jak sięgnie myśl nasza, dobiegnąć śmią oczy,
Pod trzema godłami ku słońcu świat kroczy:
Ten z musu, ów chętnie,

W łachmanach, odświętnie,
Śród złota, rozkoszy — w nicości...
Przy wątłej kołysce — u trumien gdzie leży
Upadłych rój nędzny, lub poczet rycerzy,
Umarli i żywi —
Zdeptani, szczęśliwi —
Odżyją i żyją... w Miłości.

Dłoń miękka, niewieścia, co cenne śle dary
Biedakom bez chaty: nadziei i wiary —
I sercem szlachetni,
I ojców czcią świetni,
Potężni pieszczotą lub modlą;
Co głodnym chleb niosą i słowo pociechy —
Sierotom całunek i jutra uśmiechy —
Co bliźnim łez szczędzą,
Lub walczą z nędz jędzą —
Wszak Miłość obrali za godło?

* * *

Za gwiazdy przewodne, kto wziął te trzy godła,
Ten murem ostoi i zgraja go podła
Nie złamie — grom złości nie spali...
Wytrwały w niedoli — nie płacze gdy boli —
Śród szczęścia nie dumny, tak przejdzie do trumny
Odziany w ich pancerz ze stali!

Zygmunt Grabowski.

UMARŁA.

PRZEZ

Oktawiusza Feuillet.

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiej.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(Dalszy ciąg.)

Podczas kadryla była nieśmiała i małomówna; czyniłem co mogłem, aby ją uspokoić i ośmielić. Z powodu rannej uroczystości mówiliśmy o koniach, i ona jeździ konno, zazwyczaj ze swoim starym stryjem admirałem, a niekiedy z bratem, podporucznikiem w marynarce. Tak stryj jak brat, rzekła z uśmiechem, jeżdżą jak marynarze, ja muszę dawać im lekcye konnej jazdy. Moim zaś nauczycielem, dodała poważnie, był mój ojciec.

Odprowadziwszy ją na miejsce, powiedziałem kilka grzeczności jej matce, ciotce, admirałowi i bratu, poczem odszedłem zostawiając szanowną tę rodzinę zachwyconą moją niewysłowioną uprzejmością.

Takie było pierwsze moje spotkanie z panną Alietą de Courtcheuse i od owej już chwili zacząłem podejrzywać stryja, iż pragnie abym się z nią ożenił.

Drugie widzenie nasze nastąpiłowe dwa dni później, w pałacu Varaville, rezydencyi rodziny des Courtcheuse, gdzie stryj zawiózł mnie pod pozorem, że wymaga tego grzeczność sąsiedzka. Pałac ten jest to stary gmach, pokryty dachem nieco zniszczonym w środku, wewnętrzne urządzenie zdradza prowincyę. Piękne i ciężkie meble, ustawione są w szyku surowym i oschłym, z tem zamiłowaniem niewygody, jakie cechowało naszych dziadów. Nie takie to gniazdko urządziłby należało dla tak ślicznego ptaszka jak panna Alieta. Zastaliśmy ją tam jednak zdrową i wesołą, widocznie ucieszoną naszemi odwiedzinami. Jakkolwiek stryj nie chciał się do tego przyznać, niewątpliwie jednak dozwolił odgadnąć matce jej i krewnym tajemne swoje zamiary i nadzieje i panna Alieta musiała coś o nich posłyszéć. To też całe to szanowne grono studyowało, badało i obserwowało mnie z hipnotycznem natężeniem, które musiało trudzić ich kaduczne.

Tegoż dnia, gdy wracaliśmy do La Saviniere, stryj otworzył mi nareszcie swoje serce. Jest-to, mówił mi, sposobność nie nasuwająca się dwa razy w życiu. Panna śliczna, posiadająca wysokie ukształcenie, piękne nazwisko, majątek dziś już wielki a w przyszłości ogromny... Ma ciotkę starą pannę, stryja admirała bezżennego, drugiego biskupa, naturalnie także kawalera... słowem feniks!

Dalej stryj wymienił mi kilka liczb i innych szczegółów. Z tego co mi powiedział i co sam spostrzedz mogłem, ci Courtcheuseowie, będący potomkami bardzo starożytnego rodu, stanowią rzeczywiście nader oryginalną kollekcyę. Z wyjątkiem właściwego staremu rodowi zamiłowania w koniach, nic zresztą nie mają wspólnego z naszym tegoczesnym światem. Posiadają i praktykują głęboką wiarę ubiegłych wieków, której prąd tegoczesny bynajmniej nie dosięgnął. Jedna gałęź ich rodu przeszła do Anglii z Wilhelmem Zdobywcą i po dziś dzień zalicza się do kwiatu tamtejszej arystokracyi. Courtcheuseowie francuzcy pozostają w ciągłych stosunkach ze swymi angielskimi krewnymi, i może to także przyczyniło się do nadania im szczególnej, odznaczającej ich cechy. Są najgorliwszymi katolikami, a przecież w ich zwyczajach przebija odcień purytańskiego formalizmu.

I tak, między innemi, przejęli zdaje się od swej zamorskiej rodziny, stary zwyczaj angielski odmawiania wieczorem wspólnej z całą służbą modlitwy. Już ten jeden rys dostatecznie ich określa. Podobno zmarły baron de Courteheuse, brat admirała i biskupa, a ojciec Aliety, miał być człowiekiem wyższego, niepospolitego umysłu; nie chciał miéć guwernantek dla córki ani też oddać ją na pensyą lub do klasztoru, tylko z pomocą nadzwyczaj troskliwie dobranych i dozorowanych profesorów, sam zajmował się umysłowem ukształceniem córki, pozostawiając matce wychowanie religijne i moralne.

Zapewnie, że nie zastanowiwszy się głębiej, zdawać się musi, iż człowiek tak płochy i równie jak żadnej nie mający wiary, nie powinienby wybierać żony w podobnym wychowanej domu, gdyż zachodzi tu rażąca sprzeczność. Ale rozważmy tylko. Jak powiedziałem, już prawie gotów byłem zaślubić jedną z młodych poganek tegoczesnego położenia, co nie znaczy bynajmniej żebym pragnął podobnego związku; przyznaję nawet, że nie obawiałbym się żony trochę religijnej, choć nie patrzę przez szkło powiększające na doniosłość rękojmi jakie dać może pobożność kobieca i nie uważam jej za synonim cnoty. Niezawodnie przecież, u kobiet, pojęcie obowiązku jest nieodłącznem od pojęć religijnych i z tego, że religia nie wszystkie ochroniła od upadku, wnosić nie można, że nie ustrzeże żadnej. Dobrze więc zawsze miéć ten ratunek za sobą. Prawda, że jak cała rodzina de Courtcheuse tak i panna Alieta posuwają, aż do fanatyzmu swoje wierzenia i praktyki religijne, ale przecież nie zrosną się z familią żony, a co do pany de Courtcheuse, pewny jestem, że jeden sezon spędzony w Paryżu, przytrze i złagodzi chropowatość i przesadę jej religijności. Pod każdym innym względem, związek ten zapewnia mi niezaprzeczone korzyści, oceniłem je od pierwszej chwili i nie targując się przyznałem słuszność stryjowi.

Jedna tylko rzecz budziła we mnie zadziwienie: że taki jak ja sceptyk i niedowiarek zaślubia dewotkę, to rzecz prosta i wykazałem powody, ale dziwnem mi się zdaje, że rodzina tak fanatycznie religijna, nie odtrąciła bez namysłu związku z człowiekiem, jakkolwiek uczciwym, ale nie słynącym bynajmniej ze świętobliwości.

Od owego dnia, za milczącem porozumieniem i ze wszystkiemi obowiązującemi zastrzeżeniami, że rodzina Courtcheuse przyjmowała mnie jako konkurenta, wprawdzie nie przyjętego jeszcze ale możliwego, ofiarowałem się dawać lekcye konnej jazdy młodemu Gerardowi, bratu panny Aliety. Niezadługo i ona raczyła przyjąć udział w naszych przejażdżkach, pod opieką admirała. Prosiła mnie wesoło, abym i jej nie skąpił rad swoich, ale nie potrzebowała ich wcale. Ta jasno blond nabożnisia jest istną centaurką; a że jazda konna jest prawie jedyną jej rozrywką, oddaje się więc jej z całą duszą. Ojciec wskazał jej doskonałe zasady, jeździ nadzwyczai śmiało i wybornie kieruje koniem. Dodam nawiasem, że lubię bardzo kobiety namiętnie zamiłowane w konnej jeździe—odznaczają się zazwyczaj czystością obyczajów.

Zdarzało się często, że po powrocie z naszych rannych przejażdżek, zatrzymywano mnie w Varaville na śniadanie. Podczas tej coraz ścieśniającej się zażyłości, wszyscy Courtcheuseowie nie przestawali badać mnie i obserwować bacznie, pod względem fizycznym, umysłowym i moralnym i widocznie coraz więcej zadowolnieni byli ze śledztwa. Co do mnie, może z mniejszem zadowoleniem ale z coraz większem zajęciem śledziłem i poznawałem, codzień lepiej usposobienie i charaktery tej przedhistorycznej gromadki. Odgadywałem że zmarły baron de Courtcheuse, posiadać musiał, jeźli nie wyższy umysł, to przynajmniej charakter silny i nacechowany niezwykłą oryginalnością, której ślady odbiły się na całej jego rodzinie.

Zaprowadzony przez niego tryb postępowanie, przeżył swego twórcę i dotąd duch jego panuje w pałacu, pod postacią uroczej jego córki. Zresztą sama panna Alieta utwierdziła mnie w tem mniemaniu, objawiając mi rodzaj manii, jaką ojciec jej był opanowany, a którą ona w szerokich rozmiarach odziedziczyła po nim.

Pewnego dnia pokazywała mi bibliotekę pałacową, która, jak to powiedziałem na początku mego dziennika, zawierała bogaty zbiór dzieł z XVII-go wieku, oraz cennych doknmentów, odnoszących się do owej epoki. Spostrzegłem tam także ciekawy zbiór rycin z owego czasu.

— Widzę — rzekłem — że ojciec pani, umiłował szczególniej wiek Ludwika XIV.

— Ojciec mój żył w nim tylko—odpowiedziała poważnie; a gdy spojrzałem na nią z nieco niespokojnem zadziwieniem, dodała: — I mnie z sobą do niego przeniósł.

I łzy stanęły w oczach tej dziwnej dziewczyny.

Odwróciła się i odeszła parę kroków, aby stłumić swe wzruszenie; wróciwszy po chwili, wskazała mi krzesło i rzekła siadając na schodkach od szaf biblioteki: — Muszę — rzekła — dać panu poznać mego ukochanego ojca.

Pomyślała przez kilka minut; poczem, z niezwykłem sobie ożywieniem, rumieniąc się i wahając widocznie, ilekroć wypadło jej wypowiadać słowa mogące wydawać się za poważne dla ust tak młodych, mówiła:

— Ojciec mój umarł w skutku rany odniesionej pod Patay. Kochał więc swój kraj, ale nie lubił swojego czasu; miłował bezgranicznie porządek, a nie widział go nigdzie i w niczem. Nienawidził natomiast nieporządków i bezrządu, a spotykał je wszędzie. W ostatnich szczególniej latach, wszelkie jego wierzenia, wszystko co szanował, kochał i cenił, boleśnie bywało dotknięte przez wszystko co się działo, mówiło i pisało wkoło niego. Głęboko zasmucony teraźniejszością, nawykł szukać schronienia w przeszłości; szczególniej wiek XVII przedstawiał mu społeczeństwo w jakiem pragnąłby żyć, społeczeństwo dobrze uorganizowane, grzeczne, wierzące, ukształcone, to też coraz więcej lubił w niem żyć myślą i sercem. Lubił także coraz silniej zaszczepiać i utrwalać w domu swoim moralną karność i literackie upodobanie swego ulubionego wieku... Może uważał pan, że upodobania te swoje posuwał, aż do układu i ozdabiania parku... Z okna tego widzieć pan może, iż wszystkie aleje wytknięte są prosto, rabaty wysadzone bukszpanem, drzewa cisowe i krzaki równo przycinane... Na kwaterach ogrodu rosną tylko ówczesne kwiaty, lilje, wszelkie malwy, amaranty, goździki, słowem najpospolitsze gatunki... Uważał pan także zapewne, że wszystkie nasze meble, począwszy od szaf, kredensów aż do konsol i foteli, są w najsurowszym stylu Ludwika XIV. Ojciec nie lubił wyrafinowanych wymysłów tegoczesnego zbytku, utrzymując, że te przesadzone wygody rozmiękczają i pozbawiają hartu, nietylko ciało ale i dusze, i dlatego-to — dodała z uśmiechem — musi pan siadywać u nas tak niewygodnie. Wiem, wiem, powie mi pan, że inne przyjemności wynagradzają mu to stokrotnie... Dobrze, dobrze.... Poczem mówiła znów poważnie:

Tak więc ojciec mój starał się, aby całe otoczenie i układ materyalny przypominały mu epokę w której myślą przebywać lubił... Czyż potrzebuję panu mówić, że byłam powiernicą mego najukochańszego ojca, powiernicą rozrzewnioną jego smutkiem, podzielającą jego wstręty, ucieszoną pociechami jakie znajdował... Tutaj-to, w pośród tych książek, które czytywaliśmy razem i które nauczył mnie cenić i polubić, spędziłam najmilsze chwile moich lat młodocianych. Zachwycaliśmy się wspólnie tym wiekiem wiary i cichego spokojnego życia, czystemi jego przyjemnościami, dobranem i pięknem wysłowieniem w bogatej naszej mowie, wykształconym smakiem, szlachetną, ujmującą grzecznością, stanowiącą wówczas cechę i chlubę naszego kraju — dziś wszystko to minęło.

Zamilkła, jakby zawstydzona nieco uniesieniem z jakiem wypowiedziała ostatnie słowa.

— Tłomaczy mi pani wrażenie jakie budziłaś we mnie często, wrażenie tak silne, iż niekiedy zakrawało na halucynacyę, zresztą, bardzo przyjemne, powiedziałem aby coś odpowiedzieć. Wnętrze mieszkania państwa, styl, szyk i całe utrzymanie domu, tak do złudzenia przenosiły mnie myślą o dwieście lat wstecz, iż nie bardzo-bym się zadziwił gdyby nagle zameldowano: Księcia ***, panię de Lafayette... lub nawet samą panią de Sévigné.

— A! gdybyż to być mogło—odpowiedziała...— Ah! jakże ja lubię te osoby!—dodała po chwili.— Jakież to dobrane, wyborowe towarzystwo!... Jak stokroć więcej byli warci niż świat nasz tegoczesny!..

Próbowałem ostudzić nieco ten zapał i uwielbienie przeszłości, tak szkodliwe dla współczesnych i dla mnie samego.

— Niezaprzeczenie czas, którego pani tak żałuje — odrzekłem — miał wielkie zalety, które i ja cenić umiem... ale niepodobna nie uznać, że to społeczeństwo tak prawidłowe, tak pełne równowagi i na pozór tak wyborowe, zarówno jak tegoczesne, miało także i swoją odwrotną stronę, swe strapienia i nieporządki... Widzę tu wiele pamiętników z ówczesnej epoki, nie mogąc wiedzieć, które z nich pani czytała a których nie, jestem trochę w kłopocie...

— O! rozumiem co pan chce powiedzieć! — rzekła z prostotą, przerywając mi — nie czytałam wszystkiego, ale zawsze dość, aby wiedzieć, że moi ówcześni przyjaciele, zarówno jak i ludzie tegocześni; mieli swoje namiętności, słabości i błędy.. Ale grunt ich charakteru był poważny i silny i dlatego, jak mówił mój ojciec, zawsze odzyskiwali równowagę... Były wielkie błędy ale umiano je odpokutować... Istniały jakieś wyższe sfery, do których doprowadzało wszystko, nawet samo zło...

Mocno zarumieniona, wstała prędko ze schodków, mówiąc:

— Przepraszam za tak długą rozprawę; zwykle nie jestem zbyt wielomówna... ale chodziło o ojca mego, a chciałabym aby wszyscy tak jak ja czcili i kochali jego pamięć...

Pierwszy to raz panna Alieta rozmawiała ze mną raczej jak z przyjacielem, niż jak z obcym przybyszem. Przedstawiłbym się za nieczulszego niż jestem, gdybym nie wyznał, że wzruszyło mnie to ale i przeraziło zarazem: gdyż w pojęciach i uczuciach jakie wyrażała, dopatrywałem jakby odcień spokojnego, dziedzicznego obłędu.

W kilka dni później, to jest wczoraj i ja i stryj mój, mieliśmy być wystawieni na cięższą daleko próbę.

Oba obiadowaliśmy w Varaville i aby uszanować patryarchalne zwyczaje domowe, zamierzaliśmy odjechać zaraz po obiedzie. Ale niezwykle piękny wieczór długo zatrzymał nas w ogrodzie i było już wpół do jedenastej gdyśmy weszli do pałacu, aby pożegnać się z admirałem, który z powodu podagry nie wychodził z pokoju.

W tejże chwili rozległ się głośny odgłos dzwonka i jednocześnie cała służba dworska i folwarczna, cicho, procesyonalnie weszła do salonu. Stryj patrzył na mnie przerażonym wzrokiem, wtem pani de Courtcheuse zbliżyła się do nas, mówiąc: „Wszak zechcecie panowie wziąć udział w naszej modlitwie wieczornej?” Cóż było robić! stryj skłonił głowę, poszedłem za jego przykładem. Przyklękneliśmy opierając się na ciężkich krzesłach z czasów Ludwika XIV a admirał włożywszy okulary, zaczął czytać poważnie, jak gdyby celebrował na pokładzie swego okrętu, modlitwy wieczorne. Jak przystało, uprzejmie poddałem się swemu losowi, byłoby bardzo niestosownem w podobnej chwili popisywać się swojem ateuszostwem. Zresztą mam zwyczaj stosować się do zwyczajów czy to narodów czy osób u których jestem gościem. Jak nie waham się zdjąć obuwia, wchodząc do meczetu a w synagodze mieć kapelusz na głowie, tak zarówno i w tej drażliwej okoliczności, starałem się zastosować do postawy osób domowych. Lecz dokonałem tego z prostotą i bez przesady; stryj zaś przeciwnie uważał za stosowne okazywać wielką gorliwość i o małom się w głos nie roześmiał, patrząc na tę postać zatwardziałego grzesznika, przybierającego skruszoną minę, z akompaniamentem bemolowych westchnień.

Miało to miejsce wczoraj wieczór. Uważałem, że samo dopuszczenie do tak ściśle rodzinnego domowego obrządku, upoważnia mnie do oświadczenia się o rękę panny de Courtcheuse. Zdecydowałem się na to stanowczo. Panna Alieta jest trochę oryginalna, ale pochlebiam sobie, że gdy raz opuści śmieszne swoje otoczenie z czasów Ludwika XIV, zachowa jedynie gruntowne zasady moralne w jakich była wychowana i otrząsając się niedługo z dziwacznych ekscentryczności, pozostanie tylko młodą kobietą trochę uczciwszą i trochę ładniejszą od innych. Nic też więcej nie żądam... Doprawdy, miło patrzeć na nią, szczególniej gdy idzie; ma chód nadzwyczaj lekki i posuwisty; zdaje się, że uleci w powietrze. Może jest aniołem.

Postanowiłem sobie tedy dziś się oświadczyć. Wiadomo mi, że panie mają wyjechać do miasta i admirał sam pozostanie, otóż chcę zwrócić się do niego, prosząc o łaskawe poparcie.

Ale cóż to się dzieje w szanownej mózgownicy mego stryja? Gdy dziś rano zawiadomiłem go o mojem postanowieniu, zamiast upojenia radością, zdawał się niewymownie zmięszany... zapewnie skutkiem zbyt silnego wzruszenia. Ale, co prawda, nie od dziś dopiero zadziwia mnie obejście jego i mowa. Zamiast cieszyć się z pomyślnego obrotu mojej sprawy, zarówno mnie jak i jego obchodzącej, skoro chodzi o urzeczywistnienie jego marzenia, wydawał mi się ciągle niespokojny, jakby obawą przejęty; objawy te wzmagały się jeszcze, ilekroć towarzyszył mi do Varaville. Jeźli jeździłem tam sam, zawsze za powrotem wypytywał jakby przestrachem miotany: — Cóż, jakże tam było?... Co było przedmiotem rozmowy? i t. p

Wyobrażam sobie, że zapewnie gorące pragnienie powodzenia i obawa zawodu, utrzymują go w nieustającem rozdrażnieniu... bo niepodobna mi tworzyć zabawnego przypuszczenia, że stryj stał się skrytym moim rywalem i że jad zazdrości toczy mi serce.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

RYCERZ MORA.

(Dalszy ciąg.)

— Nie znasz! ano... toś ty strasznie głupi! Któż tu nie zna Jagusi? Ale kiedy ty nic nie wiesz, to ja ci powiem. Widzisz, panie bracie, jabym się już dawno był ożenił z Jagusią, bo powiadam tobie, to taka przylepeczka, takie ma oczka jak tareczki, że kiedy jeno spojrzy na mnie, to ja topnieję jak wosk. Jak Boga kocham, tak prawda. Ale cóż, matuś nie dadzą. I mnie już desperacya bierze... Na jesieni, będzie temu cztery niedziele, matuś mnie zdybali w lamusie, jakem Jagusię całował. Powiadam tobie, sądny dzień się zrobił w Wąsoszu. Zawołali hajduków, rozciągnęli-ci mnie jak kota i dwadzieścia bizunów mi dali, aż myślałem, że mnie dyabli wezmą. A Jaguś na to patrzała i łzy jej tak ciekły po gładkiem liczku, jak nieprzymierzając deszcz z rynny. Pasya mnie na to porwała ostatnia. Kiedym wstał, tom tak dał w gębę hajdukowi, który mnie bił, że się krwią zalał i jak długi padł na ziemię; a ja w nc-

gi. Dwa dni mnie nie było i siedziałem tu u Żwana w Smolarzach. Ale i on jest w desperacyi. Tośmy oba siedząc tu, beczeli i beczeli...

— A czegożeście wy beczeli?

— Ano... czego! z desperacyi. Bo trzeba ci i to wiedzieć, panie bracie, że nocką przypadł do mnie, tu do Smolarzy, mój pachołek, Antek, co ono tam stoi na dziedzińcu i powiedział mi co się działo w Wąsoszu po mojej ucieczce...

— No, cóż się działo? —pytał pan Samuel, dziwnie jakoś zajęty opowiadaniem Bartka Koszarskiego.

— Sądny dzień, powiadam tobie, sądny dzień! Matuś nakazali mnie zrazu szukać, ale potem dali pokój, jeno wzięli Jagusię do swej sypialni i tam jej dwadzieścia rózeg dali. Po całym dworze było słychać krzyk Jagusi! Kiedy sobie o tem wspomnę, to mnie taka pasya porywa, że!... niech wszyscy dyabli wezmą!

Uderzył pięścią w stół, aż zadzwoniły na nim szklanki i butle.

— Otóż jestem w desperacyi takiej, że już nietylko z chłopami, ale nawet z samym dyabłem pójdę na wojnę... żebym tak skiśniał!

— A któż to z dyabłem chodzi na wojnę? Co też waść gadasz! tu jest święta sprawa i dyabłów wspominać nie trzeba.

Bartosz, który patrzał w okno, nagle zerwał się i zawołał:

— Nie trzeba, powiadasz? a otóż masz dyabła!

I wyciągnął rękę, wskazując kogoś na podwórzu. Pan Samuel skoczył do okna i widzi, jako tam jakiś rycerz w delii karmazynowej i kołpaku z czaplem piórem stoi na środku na pysznym karym bachmacie, a koło niego czterech zbrojnych hajduków, w węgierskim stroju.

— A to kto?! — zawołał Lniski.

— To jest Boruta, prawdziwy Boruta z Łęczyckiego! — wołał Bartek, trzepiąc rękami — nie chciałeś dyabła, otóż go masz!

I śmiał się głośno, rubasznie.

Tymczasem pan Samuel patrzał ciągle przez okno i widzi, jak ów nowo przybyły rycerz, wypytawszy ludzi o coś, zsiadł z konia i oddawszy go jednemu ze swych hajduków, szedł z miną zamaszystą do dworu. Słychać było, jak stąpał przez sień, dzwoniąc ostrogami, jak zrzucił z siebie delię i z trzaskiem drzwi od komnaty otworzył. W tych drzwiach stanął on i patrzał przed siebie, nie mogąc widocznie dobrze dojrzeć obecnych z powodu zmroku panującego w izbie. Ale pan Samuel widział go doskonale i żegnał się głośno:

— W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

— Amen! — rzekł ów rycerz głosem basowym.

Był to zaś mąż wspaniałej postawy, wielkiego wzrostu, sięgającego aż po odrzwia i takiej jakiejś twarzy, że całkiem patrzała na dyabelską, więc nie dziw, że się pan Samuel żegnał. Była to więc twarz ściągła, czarna prawie, z nosem ostrym, kończastym, o wielkich, ognistych oczach, o wysokiem czole zbrużdżonem zmarszczkami, o włosach wzburzonych i nastroszonych do góry. Niewielkie czarne wąsiki zakręcone z fantazyą do góry, bródka z szwedzka postrzyżona, także kruczo czarna, uzupełniała to dziwne, szatańskie prawdziwie oblicze. Ubrany był z pańska w krótki kontusik karmazynowy, spięty u szyi wielkim soliterem, w ciemne szarawary i żółte futrem podbite buty. Przy boku miał krzywą, turecką szablę, a na piersiach na złotym łańcuchu wiszący ryngraf z Matką Bozką Częstochowską. W ręku dzierżył swój sobolowy kołpak z czaplem piórem i wciąż stał we drzwiach słuchając śmiechu Bartka, który chwyciwszy się za brzuch oburącz, biegał po izbie i głośno się śmiał, wołając:

— Ha! ha! ha! Boruta!...

— Kto tu wymienia moje nazwisko? — spytał nakoniec ów nieznajomy.

— A któżby, jak ci się zdaje dyable łęczycki? ha! ha! ha! — śmiał się znowu Bartek.

— Ejże, ktoś tam jest, nie sadź dyabłami, bo ci je wtłoczę w gardziel napowrót — ozwał się groźnie ów rycerz i podszedłszy parę kroków do izby, wciąż jeszcze rozglądając się, dodał: — To tak Żwan przyjmuje u siebie?

— Mój mości panie — ozwie się na to pan Samuel — Żwana nie ma w domu, ale ja, Samuel Lniski gospodarzę tutaj tymczasowo...

— Więc to waść, mości panie, co masz takie nazwisko, że je wykrztusić trudno, śmiejesz się ze mnie?

— Nazwisko moje jest dobrem nazwiskiem — rzeknie ponuro pan Samuel — i waść sobie niem gęby nie wycieraj. Co zaś do owego śmiechu, to nie ja się śmieję, bo ja jeno łzy lać umiem, a śmiać się już nie potrafię.

— Ejże do stu katów, czym ja do grobu trafił, że waść mówisz, jakbyś dopiero co z trumny wstał! Któż u stu piorunów się śmieje?

— A to ja, Boruto, ja Bartek Koszarski z Wąsosza!

To rzekłszy Bartek, podsunął się pod okno i stając przed nowoprzybyłym, znowu złapał się za brzuch, parskając śmiechem:

— Ha! ha! ha! Boruta!

— Głupi Bartek! ano... to co innego — rzekł rycerz i zwracając się do stojącego nieruchomie pana Samuela, rzekł:

— Jam jest Rodrigus Boruta, szlachcic z ziemi Łęczyckiej, herbu Nowiny...

— Dyabeł Boruta, dyabeł! ha! ha! ha! — śmiał się Bartek.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

OSTATNIA WYPRAWA AMERYKAŃSKA DO PÓŁNOCNEGO BIEGUNA.

Wedle danych, zaczerpniętych z dzieła

W. de Fonville,

ułożył

B. Z. P.

(Dalszy ciąg.)

Pozostałe resztki zapasów major kazał rozdać podwładnym swoim w równych podziałach, a następnie pożegnawszy się ze wszystkiemi i zalecając cierpliwość aż do końca, legł bezwładnie na swojem posłaniu. W obozie panowało grobowe milczenie, przerywane tylko od czasu do czasu bolesnym jękiem.

Powrót słonecznego światła był dla nich obecnie przykrzejszy, aniżeli dawniejsza ciemność, gdyż wzajemny widok trupich prawdziwie twarzy, przypominał o własnem położeniu. Osłabienie uczestników wyprawy posunięte było do takiego stopnia, że nawet wzajemne wymienianie myśli stało się niepodobnem; wszyscy spoczywali bezwładnie, oczekując z rezygnacyą czekającej ich śmierci. W całym obozie dwóch tylko ludzi miało jeszcze siłę do prowadzenia cichej rozmowy, mianowicie sierżant Lang i sierżant Brainard. Zajmujący ich przedmiot był odpowiedni do położenia, ostatniem wspomnieniem żegnano zmarłego w dniu wczorajszym towarzysza, zapytując z niepokojem, na kogo kolej przyjdzie rozstać się na zawsze z doczesnym żywotem. Śmierć nie przestraszała ich wcale, była prawie pożądana, jako kładąca koniec doczesnym cierpieniom.

Nieszczęśliwi ci nie mieli pokoju ani na jawie, ani w czasie snu, bo przerażające widziadła spowodowane głodem i zimnem, prześladowały ich ustawicznie. Poświęcili się dla rozwoju nauki, dla chwały swej ojczyzny, a tymczasem karani byli straszliwiej jak najwięksi winowajcy.

— Obym mógł dzisiaj wydać ostatnie tchnienie — szepnął Brainard.—Nie wypowiadam ostatniej woli, bo niezawodnie wszyscy legniemy wśród tych przeklętych lodów.

Wymawiając ostatnie wyrazy, podniósł szybko głowę w górę, usłyszawszy z zewnątrz jakiś szmer niezwykły, którego rodzaju nie umiał dokładnie oznaczyć.

Ale i to pewno nowe złudzenie, będące źródłem nieprzyjemnych zawodów. Rzecz jednak dziwna, gdyż szmer nie ustaje, nabiera coraz większej mocy, słyszą go obydwa, nie śmiąc zamienić ani jednego wyrazu.

Czyby to był świst uraganu, czy jakiegoś potworu morskiego, zwabionego nadzieją łatwej zdobyczy? Los taki nie zastraszał ich wcale, postanowili wyjść zatem z obozu, aby rozpoznać stan rzeczy i dowiedzieć się, czego mają się lękać lub czego oczekiwać. Promyk nadziei przekrada się pomimo woli do ich serc, bo świst coraz wyraźniejszy i coraz więcej ostry, zdaje się wychodzić z wnętrza maszyny parowej.

Niespodziany ten wypadek zwrócił uwagę majora, nadstawiającego baczne ucho; nawet Ellison uważany od dni kilku za konającego, zerwał się nagle z posłania i trzęsąc konwulsyjnie ręką objawiał wielki niepokój.

Inni współuczestnicy wyprawy, jak sierżant Fryderyk, Biederbeck i Connel, choć oddychali jeszcze, ale popadli w taką bezwładność, że nawet widok przybywających rodaków nie zwrócił ich uwagi.

Brainard i Lang wyszli nareszcie z obozu, ale pierwszy nie mógł iść dalej i zatrzymał się na miejscu w klęczącej postawie, drugi szczęśliwszy dopełzał do stóp skały, na której zatknięty był amerykański sztandar. Z jej szczytu dostrzeże szeroką przestrzeń morza i sprawdzi o ile zbudzona w sercu nadzieja była rzeczywista lub złudna. Nie ma jednak sił ustać na nogach, po zrobieniu kilku kroków chwieje się i spada na dół, nie mogąc unieść ciężaru własnego ciała. Nie ma więc innego środka jak tylko pełzać na rękach i nogach i tym sposobem stanąć na szczycie znacznego dosyć wzniesienia. Jeżeli skutkiem wysiłku zakończy żywot, to przynajmniej z radością w sercu, bo patrząc na powiewający dumnie sztandar Zjednoczonych Stanów Północnej Ameryki.

Lang nietylko wdrapał się na szczyt, ale widząc sztandar skutkiem uraganu przewrócony na ziemię podniósł takowy, badając jednocześnie wzrokiem powierzchnię oceanu. Czyjeż pióro zdoła opisać doznane przez niego wrażenia, skoro zwróciwszy oczy w kierunku słyszanego świstu, dostrzegł rzeczywiście płynący statek i kłęby dymu wyrzucane przez komin parowej maszyny. Uczucie niespodzianej radości przywiodło go prawie do obłąkania i nie dozwoliło ustać na nogach, bezwiednie więc wypuścił z rąk sztandar i sam padł na ziemię. Rozpacz zawładnęła znowu jego sercem, zwątpił, aby przybywający na ratunek zdążyli na czas; każda bez wyjątku chwila mogła być śmiertelną tak dla niego samego, jak i dla pozostałych przy życiu towarzyszów.

Nie umiałby odpowiedzieć na zapytanie jak długo leżał na ziemi bez ruchu, nie wiedząc co go czeka, śmierć czy ratunek, gdy nagle uczuł dotknięcie ciepłej dłoni, która go z łatwością podniosła z ziemi.

Był to kapitan Ash, niosący mu pomoc i oddający go pod opiekę swych podwładnych; później pobiegł dalej we wskazanym kierunku, aby zwiastować innym rozbitkom radosną nowinę, o przybyłym ratunku.

Obóz Clay znajdował się niedaleko, ale na nieszczęście, biegnący pod wpływem gorączkowego pośpiechu, nie dostrzegł naturalnego mostu, wytworzonego z nagromadzonej kry po nad wyrwą morską i zniewolony był zrobić ogromny zakręt, a przybywszy z innej strony nie dostrzegł klęczącego Brainarda.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z pod naszej strzechy.

Treść: Kwestya przez Izraelitę wywołana. — Fałszywe jego twierdzenie. — Co stało się powodem niechęci do żydów? — Gorzka prawda. — Karnawał. — Bale różnych korporacyi. — Pomysł Muchy. — Oszczędność. — Właściwy jej rozwój. — Wróżby długiej zimy. — Przyczyna tego. — Na krańcach Podola. — Niezwykłe lodowisko. — Król Ludwik Bawarski. — Zły stan jego finansów. — Marnotrawstwo. — Zachciewka milionera.

Izraelita zastanawiając się nad znaczeniem religii, robi uwagę w jednym z numerów tegorocznych, której bez odpowiedzi pozostawić nie można.

Dociekając, powiada, istotnych przyczyn antagonizmu ku żydom, od wieków między ludami panującego, doszliśmy do głębokiego przekonania, że mimo wszystkich wypierań się spółczesnych nieprzyjaciół żydów, usiłujących nadać swym niechęciom motywy czysto społeczne, ekonomiczne i t. p. mimo wszystkich nawet pozorów uzasadniających to twierdzenie, podkładem, na którym cały gmach antyżydowstwa spoczywa i piętrzy się, jest rozdział wyznaniowy.

Nie podzielamy tego zdania. Żydzi rozsypując się po zburzeniu Jerozolimy, po wyspach i nadbrzeżach europejskiego lądu, wszędzie przyjmowani byli jak najgościnniej, doznawali pomocy i opieki a nawet współczucia, dla swej nieszczęśliwej doli, dochodząc nawet do władzy i urzędów wielkiego znaczenia. Mimo tego wkrótce potem, wszędzie wygnani, wciskali się w dalsze głębiny Europy i gdzie się tylko osiedlili, tam także wszędzie obudzali dla siebie jak najnieprzyjaźniejsze uczucia do ostatecznej wzgardy dochodzące.

I tak wędrując z kraju do kraju, od komina do komina, doszli wreszcie do nas na nasze nieszczęście.

Czyż ich tu źle przyjęto? Czyż nie wiedziano jakiej religii są wyznawcami?

Nie religia więc stała się powodem antagonizmu ku żydom, jak powiada Izraelita, ale ich własne postępowanie. Porzucając dobrowolnie ojczystą ziemię z wszystkiemi do niej przywiązanemi ideałami, musieli poślubić coś, jakiś nowy ideał coby zastąpił to co utracili.

I stał się nim pieniądz, niczem nieugaszone pragnienie ubogacenia się, bez względu na środki użyte do tego.

Ojczyzna, przeszłość, sumienie, obowiązki obywatelskie, ludzkie, społeczne, to głupstwo wierutne, a wszystkiem pieniądz.

On panem świata, zawołano, zdobywajmy go więc a będziemy mu panować.

A i rzucono się z zajadłością wygłodzonego tygrysa na zdobycie tej potęgi tak wielowładnej, wszystkie skrupuły odrzucono na bok, wszystkie środki usprawiedliwiono, wszystko uznano dobrem co korzyść przynosiło; cóż więc dziwnego, że ludzi zajętych jedynie tylko bogaceniem się z krzywdą całych społeczeństw wśród których osiedlali się, niczem nieprzykładających się do pomyślności w obecnym i przyszłym ich rozwoju, znienawidzono i obrzucanych pogardą wyganiano jako szkodników niczem niepoprawionych?

Takimi przyszli do nas i takimi pozostali do dnia dzisiejszego. Nie ma też najbrudniejszego byle zyskownego interesu, któregoby się żyd nie podjął: nie ma podłości, podstępu, szachrajstwa, kłamstwa, jakiemi żyd pogardziłby w zabiegu o zarobek. Między rabusiami i złodziejami najwięcej żydów, to samo oszustów różnego rodzaju, prawnych, handlowych i wymieniamy to, niech Izraelita wierzy, nie przez nienawiść, tylko przez miłość prawdy i to z bólem serca, że tak jest na nieszczęście a nie inaczej. Żadna kwestya z fałszywego uważana stanowiska rozwiązaną pomyślnie nigdy nie zostanie, a z takiego Izraelita sądzi u nas żydów, przypisując niechęć do ich religii.

Jest ona już dziś jedną z przyczyn tej niechęci, ale podrzędną a główną najwyższe samolubstwo na najpotworniejszych oparte zasadach.

Izraelita, bogactwo żydów nazywa baśnią i na dowód przytacza zmarłego niedawno kupca żyda, uchodzącego za człowieka bardzo bogatego, z kredytem prawie nieograniczonym tak w kraju jak zagranicą, który umierając, ubolewał przed zaufanym przyjacielem, że zostawić musi wielki swój majątek spadkobiercom niezdolnym należycie nim zarządzać. I cóż się pokazało po jego śmierci? pyta Izraelita. Oto, że rzetelnym był i solidnym, ale majątku nie miał żadnego i że aktywa zaledwie pokryły długi na nich ciążące.

Izraelita nazywa go biedakiem, do ostatniej chwili łudzącym się bogactwem, którego dawno nie posiadał, a ja przeciwniebym powiedział, że był zręcznym bardzo spekulantem, który na łożu nawet śmierci mając nadzieję wyzdrowienia, wybornie odgrywał rolę bogacza.

Po tych kilku słowach... gorzkiej prawdy, przejdźmy w karnawałowe szranki, szumiące tańcem i wesołością. O balu złotej młodzieży i dla dzieci coś wieści przycichły, ale zato zapowiadają nam bal kolonii czeskiej, techników, resursy kupieckiej i obywatelskiej, a Mucha, pismo humorystyczne, radzi urządzenie balu dla chorych na katar kiszek, na jednym z placów większych Warszawy.

Powiadają, że zabawy w obecnym karnawale stanowczo odznaczają się oszczędnością. W handlu, w którym niegdyś podczas trzeciej i czwartej maskarady wypijano po 200 butelek szampana, dziś zaledwie sprzedano dwadzieścia.

Jest to objaw może nie tyle dobrej woli ile niemożności płynącej z przesilenia ekonomicznego. Bądź co bądź oszczędność na pierwszym stoi planie, przynajmniej wszyscy o niej mówią i do niej zachęcają. Na czem jednak właściwie polegać powinna i jak ją wpraktyce stosować należy, o tem prawie nic dotąd nie mówiono.

Nie ulega wątpliwości, że tak w skromnej perkalikowej, świeżo upranej, jak jedwabnej bez zmiany aż do zniszczenia używanej sukni, bawić się można wybornie, gdy ochota jest po temu; ale gdyby wszystkie panie do jednej sukni raz na rok odnawianej, ograniczyły swoją garderobę, cóżby się stało z magazynami i robotnicami w nich pracującemi? Za bankructwem ich poupadałyby handle bławatne, fabryki, produkcya potrzebnych dla nich materyałów uledz musiałaby zmianie i w całym przemyśle nastąpiłby przewrót, skazujący setki jak u nas poczciwych a biednych pracownic i pracowników na nędzę trudną do usunięcia. Zdaje się więc, że oszczędność zasadzać się winna, nie na odmawianiu sobie pewnych wydatków, ile raczej na szafunku dochodami w ten sposób, aby z nich coś zawsze na zasób pozostawało. Gdy tak robić będą wszyscy, przesilenie ekonomiczne mniej nas straszyć będzie i mniej wywoływać wzdychań z rozpaczliwem kręceniem głowy: co to będzie, co to będzie!

Z podobną także obawą, przyjmowane są wróżby długiej zimy z obfitemi śniegami, które już i dziś w niektórych miejscach w wielkich nawałach drogi i pola pokryły. Przyczynić się do tego miały niezwykłe burze na morzu Baltyckiem, które poruszywszy lody Północy i goniąc je ku Południowi, muszą koniecznie w wędrówce swej klimat oziębiać. Na krańcach Podola, aż do Dniestru i morza Czarnego, przez trzy dni w ostatnich dniach Stycznia, padał deszczyk, z którego za każdym powiewem wschodnio południowego wiatru, tworzyła się na ziemi warstwa lodowa, nie dopuszczająca wszelkiej komunikacyi tak pieszo jak końmi. Na drzewach gałązki najcieńsze narosły lodem na grubość ręki, co taki ciężar utworzyło, że drzewa łamały się a niektóre na dwoje rozdzierały. Dla tej samej przyczyny słupy telegraficzne powywracane zostały, druty pozrywane a ściany domów, klamki, wszystko od strony wiatru, pokryło się na pięć cali lodem. Stada kuropatw i dropi przywędrowały pieszo do chat ludzkich, aby rozgrzać na sobie lodową skorupę; ptastwo domowe w sadach przestraszone łoskotem spadających gałęzi z lodem, przesiedziało kilka dni w ukryciu. Mrozu przytem nie było więcej nad trzy stopnie, a śniegu ani płateczka.

Z braku jego najbardziej byłby niezadowolony Ludwik król Bawaryi, który obecnie z największem zamiłowaniem używa sanny w alpejskich wyżynach, marząc zapewne o sposobie wybrnięcia z kłopotów finansowych stawiających go w rozpaczliwem położeniu.

Lista cywilna jego wynosi obecnie 5,342,000 marek rocznie. Fundusz ten jakkolwiek tak znaczny, był jednak niewystarczającym na pokrywanie szalonych wydatków.

Król Ludwik chociaż panuje od roku 1864, nie jest prawie znany osobiście swoim poczciwym poddanym; prowadzi bowiem życie samotne w warownych swych rezydencyach, których budowa i utrzymanie pochłania bajeczne sumy. Bramy wjazdowe do tych rezydencyi zawsze są zamknięte, story pospuszczane i czy król jest czy nie, nikt nie wie na pewno.

Dziś kiedy wyczerpały się wszelkie zapasy dawniejsze i dochody z osobistego majątku, przyszła kolej na listę cywilną i tę powoli zjadają forszusy na rok przyszły i następny, i kiedy dziś król Ludwik nic już prócz tej listy nie ma, zobowiązania jego, wymagające natychmiastowego uregulowania, wynoszą dziewięć milionów marek. Zkąd je wziąć i zkąd zaczerpnąć nowych milionów na dokończenie rozpoczętej budowli rezydencyi i ogrodów wiszących na Chiem See?

Król miał się już tam sprowadzić przed tygodniem, a tymczasowo mieszka w Monachium, gdzie niedawno przebudowawszy z gruntu całą królewską siedzibę, założono nad pałacem wiszące ogrody, z jeziorami, stawami, sztucznem światłem księżycowem i t. p. Tutaj król mizantrop pędzi życie samotne, szukając jedynie rozrywki w muzyce, zwykle w operze, którą każe wystawiać dla siebie samego. Wszystko to naprowadza na różne wnioski. Pieniądz jest źródłem szczęścia ale niedoli zarazem, gdy obudza pragnienia niepodobne do urzeczywistnienia.

Jeden np. z milionerów w Paryżu, rozgorzał chętką sławy autorskiej i pragnąc ją zdobyć, do jednego z głośnych pisarzy napisał list następującej treści:

„Drogi panie! Pragnę połączyć się z panem, w celu utworzenia dzieła dramatycznego. Czy nie zechcesz mi wyświadczyć tej przyjemności i napisać komedyą, do której mógłbym dołączyć kilka wierszy. Ja biorę potem na siebie jak najlepsze i najwspanialsze wystawienie sztuki, w zamian zaś podzielę z panem sławę autorską."

Na to pisarz ów odpowiedział:

„Drogi panie! Zmuszony jestem odrzucić wielce mi pochlebną propozycyą pańską, religia bowiem poucza mnie, że osła nie można wprzęgać w jedno jarzmo z koniem."

Milioner nie stracił przytomności i odpowiedział krótko:

„Panie! Otrzymałem impertynencki twój list. Jakiem prawem nazywasz mnie koniem?"

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Lutego 1886 roku.

Pomimo karnawału, w Paryżu dotąd spokojnie, urzędowe bale jeszcze się nie rozpoczęły, dlatego zapewne, że nim przyjdą ostatki, będzie na nie dość czasu. Arystokratyczne rodziny, które nadają kierunek modzie, obrały leże zimowe w Cannes, w Nicei i innych stacyach po nad morzem Śródziemnem, ztamtąd przysyłają obstalunki do wielkich magazynów tutejszych, które je zaopatrują we wszelkie przedmioty wymyślone tej zimy.

W jednym z tych magazynów, widzieliśmy kilkanaście sukien, przygotowanych do wysyłki; opiszemy je wszystkie, zaczynając od balowych i wieczorowych.

Suknie w ogólności noszą nadzwyczaj rozniesiste, turniury jednak mniej odstają niż dawniej. W układzie spódniczek wielka panuje rozmaitość, jedne spadają prosto, bez żadnych draperyi, inne podpięte po bokach tworzą z przodu długi, sięgający prawie do ziemi fartuch; inne znów rozwarte z jednego boku, dają widzieć drugą, całkiem odmienną spódniczkę, to jest bryt z innej materyi, przerabianej w deseń, lub naszywanej pasmanteryą i paciorkami.

Do ubrania balowych i wieczorowych sukien, wymyślono w tym roku liście naszywane sieczką dżetową lub paciorkami błyszczącemi, w rozmaitych kolorach. Płaski bukiet ułożony z tych liści, służy do podpięcia draperyi, układają też z nich plastron, pokrywający przód stanika. Liście te mają rozmaity kształt i rozmiar, to winogradowych, to dębowych, wierzbowych i t. p., bardzo łatwo wyszyć je w domu. Potrzeba naprzód wyciąć zgrabny liść, z czarnego, sztywnego tiulu, obszyć go w koło drucikiem bardzo cienkim, osnutym w czarny jedwab. Potem brzeg liścia naszywa się raz koło razu sieczką lub paciorkami; w pośrodku oznaczają się żyłki.

Takie liście na białym tiulu naszyte białą sieczką, służą do ozdoby jasnych, krepowych albo gazowych sukien. Czarne zaś, wyszyte dżetem, używane tak do sukien jedwabnych jak i wełnianych. Widzieliśmy również białą suknię, z lekkiego kreponu wełnianego, podpiętą czarnemi liśćmi i kwiatem ponsowej geranii, co bardzo ładnie wyglądało.

Przystąpmy teraz do opisu balowych sukien, wyprawionych ztąd do Nicei.

Pierwsza suknia, jedwabna w kolorze brzoskwiniowym, przerabiana w arabesk srebrny, spódniczka prosto przyfałdowana, roztwiera się z lewego boku. Przez otwór widać bryt z gładkiej materyi białej, powleczonej koronką. Stanik wycięty w chusteczkę i z przodu i na plecach. Pod spód idzie szmizetka z gazy srebrnej.

Druga suknia gazowa, w kolorze blado różowym *rose mourante*. Spódnica prosta, rzęsisto przymarszczona. U dołu pięć zakładek podwleczonych wstążką atlasową. Stanik wycięty kwadrasowo *à la Vierge*, na ramionach kokardy, z boku spada wielki pęk pukli z dość wązkiej wstążki.

Trzecia suknia pluszowa w kolorze rubinowym, z długim trenem. Przód biały morowy, pokryty draperyą koronkową, tworzy jakby długi fartuszek złączony po bokach ze spódnicą pluszową wiązkami róż w rozmaitych odcieniach.

Czwarta suknia z lekkiej gazy blado niebieskiej, podwleczona srebrną gazą. Spódniczka podpięta fantastycznie blado różowemi różami. Stanik długi z bawetem, zachodzącym na biodra, objęty rzędem srebrnych grelotek.

Piąta suknia czarna koronkowa, na gazie ponsowej, podpinana bukietami róż ponsowych, mieszanych z liśćmi dżetowemi. Stanik wycięty w chusteczkę, na wykroju naszyty liśćmi, w pośrodku ozdobiony bukietem.

Szósta suknia biała, tiulowa na morowej, bardzo rozniesista. Stanik gładki, morowy, zachodzący na biodra *cuirace*. U dołu stanika przechodzi gerlandka z liści bluszczowych, rozszerzona w pośrodku, znacznie zwężona po bokach. W tyle ogromna kokarda z morowej wstążki, złożona z dwóch pukli i dwóch nie długich końców, tworzy jakby puff rozniesisty. Wycięty stanik, ozdobiony na wykroju gerlandką z liści bluszczowych, zwężoną na ramionach.

Siódma suknia dla młodej panienki. Na spódniczce z białego fularu *surah*, idzie druga spódniczka ze sztywnego tiulu w drobne muszki, cała plisowana w podłuż, z szerokim u dołu obrębem. Stanik wysoki jedwabny, przez ramiona przechodzą szelki z białej mory, łączące się tak z przodu jak i poniżej pleców. Pomiędzy temi szelkami idzie plastron z plisowanego tiulu w muszki. Środek pleców zarówno pokryty plisowanym tiulem. Kołnierz wysoki morowy. Rękawy tiulowe, u łokcia zakończone kokardą. Poniżej stanu przerzucona draperya tiulowa, łączy się w tyle wielką kokardą ze wstążki morowej.

Ósmy kostium wizytowy z pluszu w kolorze *mor doré* i gładkiej materyi faille tegoż koloru. Spódniczka jedwabna, plisowana w podłużne fałdy, widoczna tylko z przodu. Na nią idzie surducik pluszowy, odcięty w stanie. Tylne bryty mocno przymarszczone, przody otwarte, przytwierdzone do spódnicy rozetami z pasmanteryi. Wzdłuż stanika idą mniejsze rozetki. Od lewego ramienia podwójny sznur jedwabny, przytwierdzony rozetą, przechodzi wolno do przodu. Rękawy ozdobione pasmanteryą.

Surduciki te, bardzo w tym roku używane. Paryżka zima pozwala wychodzić w nich na miasto. Noszą je z pluszu, z wigoniu, z rozmaitych tkanin wełnianych, z ciężkiej materyi *ottomane* i t. p., niektóre okładają futrem bobrowym, szęszyllą albo popielicami.

Wszystkie te surduciki wpadają mniej więcej do figury, tak jednak, aby je można włożyć na suknią. Przód stanika zawsze odcięty, plecy łączą się z tylnemi połami; w środku tylko wpuszczone są głębokie fałdy, przytwierdzone pasmanteryą. Kołnierze do tego bywają trojakie: albo proste, zapięte na dwie haftki, albo też bardzo wysokie, złożone na pół i odwinięte płasko, albo nakoniec okrągłe, zupełnie odwinięte. Te ostatnie właściwe głównie dla pełnych osób z krótką szyją.

W kapeluszach nadzwyczajna panuje rozmaitość. Na ulicy widać wiele toczków kastorowych, objętych futerkiem. Paryżanki jednak lubią szczególniej kapotki wiązane pod brodą. Widzieliśmy w teatrze kilka nadzwyczaj ładnych. Jedna z nich koronkowa, cała naszyta dżetem, miała na wierzchu mały wianek z drobnych różyczek bez liści; w tem gnieździe siedział dżetowy ptaszek.

Inna kapotka z aksamitu pekinowego w złote pasy, przybrana kitką złotą, bardzo też świetnie wyglądała.

Uważaliśmy też śliczne kapotki pluszowe: blado niebieską, z egretką blado różowego koloru, fijołkową, z bukietem aksamitnych bratków, morderową z popielatym ptakiem i t. d.

Mówiąc o kapeluszach, wspomnijmy też woalki. Noszą je z tiulu gładkiego w kolorze odpowiednim do kapotek, zaokrąglone po bokach. Woalka ta kładzie się zwykle pod kapelusz; aby jednak nie przylegała zbytecznie do twarzy, potrzeba ją ściągnąć w górze na cienki elastyczny sznurek.

Manszoniki teraźniejsze przyszły do wielkiej wytworności. Na ulicę przyjęte zwyczajne futrzane, bardzo małych rozmiarów, ale do powozu i na wizytę, zdobią je w najrozmaitszy sposób kwiatami, piórami, koronką, pasmanteryą, pękami wstążek i t. d. Ztąd elegantki paryzkie zowią manszonik, *młodszym bratem kapelusika.*

Rękawiczki duńskie służą do największego ubrania, równie jak i do codziennego, z tą różnicą, że na bal przyjęty wyłącznie jasny kolor.

S. D.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **Kobiety-doktorki.** W Petersburgu, z końcem roku szkolnego, wyjdzie ostatnia partya słuchaczek z kursów medycznych dla kobiet, istniejących przy tamtejszej akademii. Następnie, instytucya ma być zamkniętą, pracownie zaś i gabinety przyłączone do akademii.

Chcąc jednak kursa żeńskie nadal utrzymać, miejscowe dzienniki proponują połączenie tychże z wyższą szkołą Bestużewa, a przed czterema laty, pewna zamożna dama zgodziła się wypłacać rocznie 15,000 rs. na utrzymanie żeńskich kursów.

W połączeniu z rządowem subsydyum i funduszem wpisowym, suma ta wystarczyłaby na utrzymanie zakładu, lecz nie ma go gdzie pomieścić, a o budowie oddzielnego gmachu myśléć niepodobna.

Przed kilku laty, w Odesie, profesor Traczewski otworzył kursa przygotowawcze dla kobiet, troskliwi o przyszłość instytucyi zaczęli zbierać składki, zarząd miejski zdecydował się dać na ten cel 10,000 rs., a pomimo to wszystko projekt upadł.

Obecnie jest zamiar połączyć fundusze zebrane w Odesie, z petersburskiemi i podtrzymać zachwianą egzystencyę medycznych kursów dla kobiet.

Na ostatnim zjeździe lekarskim, w Petersburgu, postanowiono wyjednać w sferach rządowych, zrównanie praw kobiet lekarek z mężczyznami.

*** **Konkurs Tygodnika Illustrowanego.** Opóźniliśmy się nieco z ogłoszeniem konkursu, którym, jak piszą wydawcy, „Tygodnik" pragnie się przyczynić do ożywienia ruchu w piśmiennictwie krajowem, a może nawet do rozbudzenia nowych talentów.

W tym celu otworzyli dwa konkursa literackie: pierwszy na *napisanie nowelki lub szkicu historycznego*; drugi: na napisanie wiersza *o kobiecie, przez kobietę.*

Nowelka, treści historycznej, obyczajowej albo społecznej, podobnie jak szkic historyczny z dowolnej epoki dziejów krajowych wybrany, obejmować powinny od 600 do 1000 wierszy druku.

Objętość poezyi przenosić nie powinna 150 do 200 wierszy.

Z nadesłanych utworów, *trzy uznane za najcelniejsze* drukowane będą w „Tygodniku Illustrowanym" z zapewnieniem ich autorom lub autorkom zwykłego honoraryum. Uznanie zaś jednego z owych trzech, wydrukowanych, z każdego działu za *najlepsze*, a tem samem zakwalifikowane do nagrody, *pozostawione będzie samej publiczności.*

Zaraz po wydrukowaniu wszystkich sześciu prac, każdy z prenumeratorów otrzyma odpowiedni kupon, na którym wypisze tytuł nowelki, szkicu, lub wiersza uznanego przez siebie za najlepszy i kartkę do redakcyi odeszle, ta zaś po obliczeniu kartek przyzna nagrodę utworowi, który największą ilość głosów pozyska.

Termin nadsyłania utworów konkursowych, oznacza się do 30 Kwietnia r. b., przy zachowaniu zwykłych warunków, to jest, załączenia nazwisk i adresów autorów, czy autorek, w osobnych, zapieczętowanych kopertach. Każdy utwór powinien być zaopatrzony w dowolnie obrane godło, które i na wierzchu koperty powtórzyć należy.

Nagroda za szkic historyczny lub nowelkę, wyniesie rs. 150, za wiersz rs. 75.

*** **Podróżnik.** P. Leopold Janikowski współtowarzysz Szolca-Rogozińskiego, mieszkający obecnie w Warszawie, ma wystąpić z odczytami o nieznanych nam krajach w których gościł. P. Szolc-Rogoziński pozostał w Krakowie i tam seryę odczytów już rozpoczął.

Obadwaj podróżnicy po krótkim, najwyżej paromiesięcznym odpoczynku, zamierzają udać się z powrotem do Kamerunu. Pomimo tylu niewygód i przykrości z któremi w poprzedniej wyprawie spotykali się tak często, wytrwałość naszych rodaków nie ostygła, gdy zamyślają o wyjeździe.

*** **Odczyty.** Zarząd kasy Mianowskiego uzyskał pozwolenie władzy wyższej na urządzenie szeregu odczytów w naszem mieście. Dochód z tychże ma być obrócony na zasilenie kasy oraz poparcie wydawnictwa „Pamiętnika fizjograficznego", który przedstawia się bardzo świetnie, jest wymownym dowodem energii i wytrwałości pracowników, nie cieszy się jednakowoż tak wielką popularnością, jak dajmy na to... romanse francuzkich realistów, których tutaj rozeszło się wielkie mnóstwo.

Odczytów zapowiedzianych jest w ogóle dziesięć, na czas wielkiego postu, gdy ucichną wesołe pląsy, a karnawał stanie się tylko mniej lub więcej przyjemnem wspomnieniem.

Treścią wszystkich niemal prelekcyi będzie elektryczność, dwie tylko, na końcu, wypowie p. Kozłowski o historyi przemysłu górniczego w Polsce.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Kradzenie elektryczności** praktykuje się obecnie w Nowym-Jorku.

Pomysłowi złodzieje pedziemnemi drogami dostają się do drutu oświetlającego, skierowują prąd elektryczny do swoich domów i w ten sposób mają bezpłatne oświetlenie lub nawet siłę motoru, osłabiając przytem znacznie światło lamp „Towarzystwa Edisona". Specyaliści mają wielką trudność w odnajdywaniu miejsca z którego elektryczność jest nieprawnie czerpaną, a ztąd niełatwo też ukarać winnych, tembardziej, że osłabienie światła elektrycznego może również pochodzić z uszkodzenia drutu spowodowanego inną jaką przyczyną.

*** **Surowa krytyka.** Dumas napisał książkę dla dzieci, a gdy ją wydrukowano, zgłosiła się do niego mała wnuczka, córka pani Lipmann i zapytała, czy to on jest rzeczywiście autorem tej powiastki.

— Tak, moje dziecko — odparł Dumas.

— A ja broniłam ciebie — rzekła dziewczynka — nie chciałam wierzyć, gdy Lili i Anette mówiły, że to ty napisałeś tak nudną i niemądrą książeczkę.

Łatwo odgadnąć, że autorowi „Damy kameljowej" nie smakowała wcale ta surowa krytyka wnuczki.

*** **Protektorowie tańca.** W Paryżu zawiązało się w tych czasach, stowarzyszenie młodzieży, mające na celu wzniecić gasnącą wśród rodu męzkiego ochotę do tańca. Człowiek stowarzyszenia, który na końcu karnawału wykaże, iż zwiedził najwięcej publicznych i prywatnych zebrań tańcujących, otrzyma artystycznie wykonany dyplom. Każda setka udowodnionych kadrylów, wynagrodzoną zostanie pewną pieniężną kwotą.

Posiadacz największej liczby orderów kotylionowych, z których każdy zaopatrzony być musi własnoręcznym podpisem ofiarodawczyni, otrzyma butelkę szampana.

Ajenci towarzystwa śledzić mają na balach tańce wirowe, a każdy kto w tym kierunku odznaczy się pilnością, może być pewny „zaszczytnego uznania".

Stowarzyszenie liczy także w swem gronie poważniejszych „mecenasów sztuki", którzy wspierają młodą instytucyę, lecz najznaczniejsze sumy ofiarowały piękne tancerki.

Śmieszne to może wszystko i płoche, nie tak bardzo jednakowoż jakby na pierwszy rzut oka zdawać się mogło. W czasach, gdy młodzież spędza czas przy zielonym stoliku, lub w najgorszem towarzystwie, która ją do zguby prowadzi, czyż nie lepiej propagować taniec?...

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie wieczorowe. Draperya, rękawy i kołnierz wysoko stojący haftowane perełkami. Stanik i spódnica z trenem są z ciężkiej jedwabnej materyi. Sute przybranie z kwiatów!

Ubranie strojne wizytowe. Suknia bez trenu przybrana aksamitem i koronkami, odrobiona z materyi jedwabnej lub lekkiej wełnianej.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Января 1886 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

Opis do N-ru 6.

(*Dokończenie.*)

N. 15—25. Ubrania balowe i kostiumowe.

N. 22. Ubranie wieczorowe.

Klarowna suknia z cieniutkiego muślinu przybrana jest koronkowemi wstawkami 4 cent. szerokiemi i odpowiednią koronką na żabot do dołu stanika i tuniki. Pasy muślinowe w plisowanej spódnicy liczą po 10 c. szerokości i łączone są rzędami wstawki; tylny bryt sukni przykryty dwoma wolantami po 60 c. szerokości, głęboko zachodzącemi na siebie, zszytemi także z pasów muślinu i wstawki. Fartuszkową tunikę zdobią dwa rzędy wszywki i koronka. Kokardy z aksamitki.



N. 3. Suknia z draperyą. Patrz ryc. 4. Krój i plecy na arkuszu N. X, fig. 37—38.



N. 1. Płaszczyk z kapturkiem dla dziewczynki lat 2—4. Patrz ryc. 12. Krój na arkuszu N. III, fig. 12—15.

N. 2. Ubranie robotą szydełkową dla chłopczyka lat 5—7. Patrz ryc. 13. Krój na arkuszu N. V, fig. 23—26.



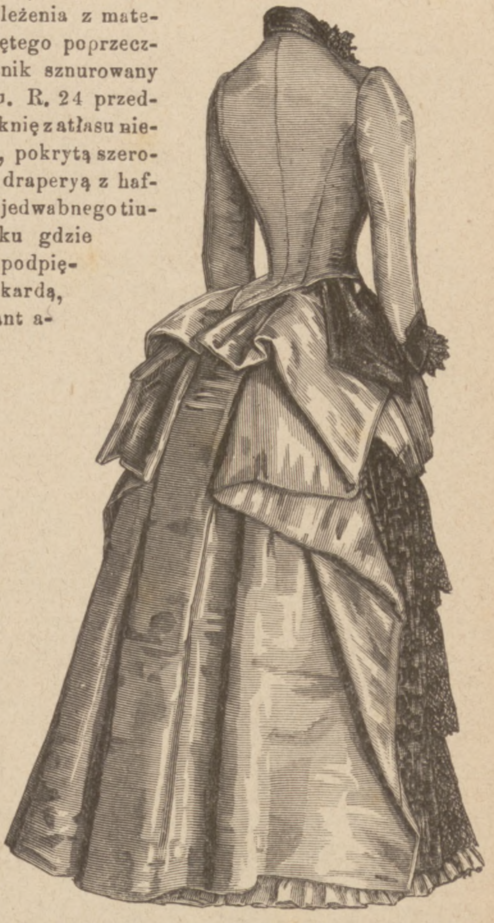
N. 7. Pantofel flanelowy z wyszyciem. Krój i deseń na arkuszu N. VI, fig. 27—29.

N. 23. Ubranie balowe z trenem.

Wielki tren sukni składa się w połowie z brytów z materyi surah, w drugiej z brytów pluszowych, tego samego co materya koloru; połączenie dwóch rodzajów materyału przykrywa naszyte wzdłuż trenu (na długość sukni) fałdowanie wachlarzowe, dane z pluszu podszytego materyą surah. Draperya przednia i upięcia boczne dane z tiulu deseniowego, tego co suknia koloru, zakończone taką koronką 5 cent. szeroką. Stanik pluszowy z wykrojem w głęboki ząb, bez rękawów, przybrany koronką.

N. 24. Ubranie balowe z wyciętym stanikiem. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—5.

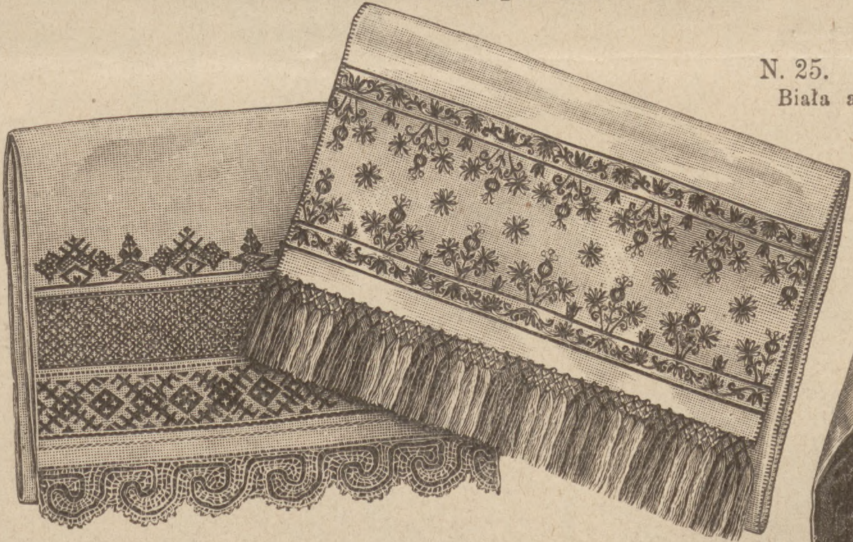
Zwracamy uwagę na przody stanika, krajane w jednym ciągu, bez szwu na środku, przy których baskina odznaczona podwójną linią na f. 1, kraje się dla dobrego leżenia z materyału wziętego poprzecznie. Stanik sznurowany jest z tyłu. R. 24 przedstawia suknię z atłasu niebieskiego, pokrytą szeroką i sutą draperyą z haftowanego jedwabnego tiulu; z boku gdzie draperya podpięta jest kokardą, dany wolant atłasowy.



N. 5. Ubranie wizytowe. Patrz taką suknię z trenem przypiętym na ryc. 30 w N. 5, tren oddzielnie na ryc. 6. Krój na arkuszu N. IX, fig. 35.

N. 25. Ubranie balowe z bawetowym stanikiem.

Biała atłasowa suknia zakończona u dołu falbaną z plisowanego tiulu, układaną w kontrafałdy, przycięśniętą girlandą z róż. Przód i boki sukni pokryte tiulem, haftowanym w bukiety różane szenilą i jedwabiami. Tylne bryty giną pod suto bufowaną draperyą z gładkiego tiulu, zachodzącą na przód dwiema bufami podpiętemi w zęby. Stanik bawetowy z atłasu, zdobny wokoło wykroju bertą i kwiatami. R. 23 w N. 5 przedstawia także bukiet z kwiatów z puklami z wstążki, odpowiedni do przypięcia na ramieniu.

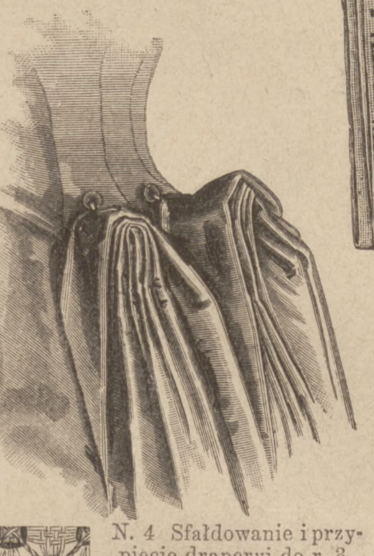


N. 8. Ręcznik ze szlakiem z kratką ażurową. Patrz ryc. 9 i 26.

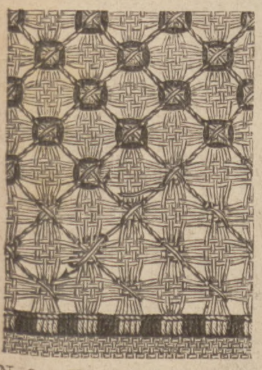
N. 10. Ręcznik z haftowanym szlakiem. Patrz ryc. 11.



N. 6. Lewa strona trenu do sukni ryc. 5. Krój na arkuszu N. IX, fig. 36.



N. 4. Sfałdowanie i przypięcie draperyi do r. 3.



N. 9. Kratka ażurowa do ryc. 8.



N. 12. Płaszczyk z kapturkiem dla dziewczynki lat 2-4. Przód patrz ryc. 1.



N. 11. Haft płaski i łańcuszkowy do ryc. 10.



N. 13. Ubranie robotą szydełkową dla chłopca lat 5—7. Patrz ryc. 2 i 14.



N. 14. Szlak brzeżny do ryc. 2 i 13.

N. 27. Kapotka przybrana kokardą.

Fasonik taki noszony pod nazwą *Nanon* ma sztywną główkę wyciętą i zastąpioną owalnem denkiem pluszowem, podszytem ma-



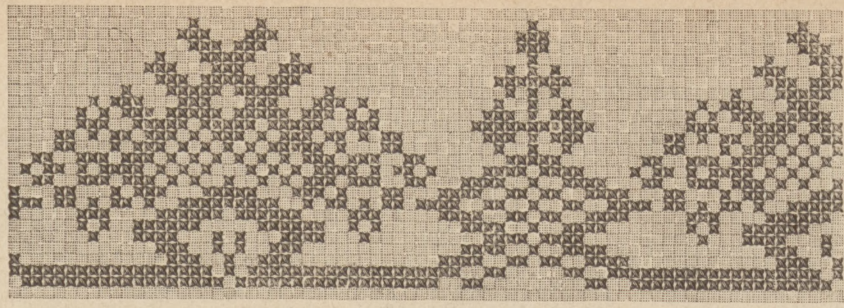
Ubrania kostiumowe i balowe.

N. 15. Kostium ruski. N. 16. Kostium ruski dla chłopczyka. N. 17. Kostium „Watteau." N. 18. Kostium „Poudre." N. 19. Kostium „Empire" dla dziewczynki. N. 20. Kostium heskiej wieśniaczki dla dziewczynki. N. 21. Kostium „Polichinelle." N. 22. Ubranie wieczorowe. N. 23. Ubranie balowe z trenem. N. 24. Ubranie balowe. Krój stanika na arkuszu N. 1, fig. 1—5. N. 25. Ubranie balowe z bawetowym stanikiem. Patrz ryc. 23 w N. 5.

teryą i suto nafałdowanem. Rondko objęte futrem bobrowem. Wysoko ułożona kokarda z wstążki atłasowej 6 c. szerokiej, przepięta kokardką odmiennego koloru. Model kapotki bronzowej przybrany wstążką bronzową i małą kokardką (motylkiem) z blado różowej wstążki.

N. 28. Kapotka z piórami.

Ciemno zielony aksamit służy na pokrycie kapotki, wiązanej piaskową wstążką $6\frac{1}{2}$ c. szeroką. Rondko pokryte tkaniną jedwabną,



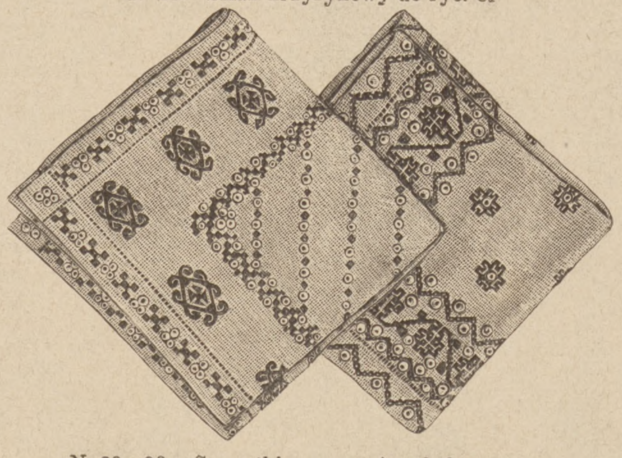
N. 26. Szlak krzyżykowy do ryc. 8.

N. 34. Łóżko z baldachimem i kołdra. Deseń aplikacyi na kołdrę na arkuszu z krojami strona lewa i fig. 39-40.

Model kołdry liczył 175 c. długości a 106 szerokości; tło z sukna koloru bordeaux, zdobne piękną aplikacyą, na którą część deseniu w naturalnej wielkości daliśmy na arkuszu z krojami, dopełnienie deseniu wskazuje fig. 39 na drugiej stronie arkusza, złączenie deseniu wskazuje krzyżyk i dwukropek. Na aplika-



N. 27. Kapotka z kokardą.



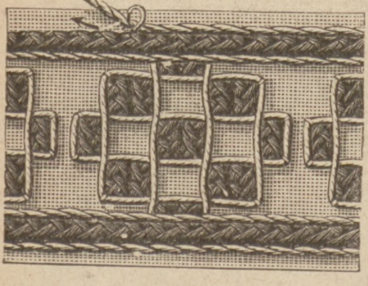
N. 29—30. Serwetki z wyszyciem kolorowem. Patrz ryc. 35—38.



N. 31. Szlak haftowany kolorami i obwodzony sznureczkiem złotym. Deseń patrz fig. 43—44.



N. 28. Kapotka z piórami.



N. 32. Wyszycie ściegiem plecionym z obwodzeniem sznureczkiem złotym do ryc. 31.

naśladującą baranki krymskie, przybranie stanowi pęk piór strusich piaskowego koloru.

N. 29 30 i 35-38. Serwetki z wyszyciem kolorowem.

Serwetki liczą po 40 cent. w kwadrat i są z płótna bośniackiego tkanego nakształt krepy; wyszycie dane ściegiem krzyżykowym stębnowanym i złotemi blaszkami, przytwierdzanemi w środku bronzową perełką. R. 38 daje

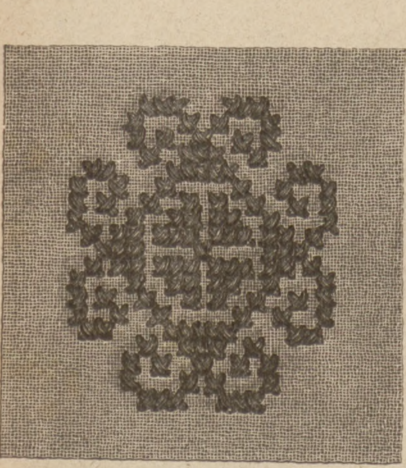


N. 34. Łóżko z baldachimem i kołdra zdobna aplikacyą. Patrz lewa strona arkusza i fig. 39—40.



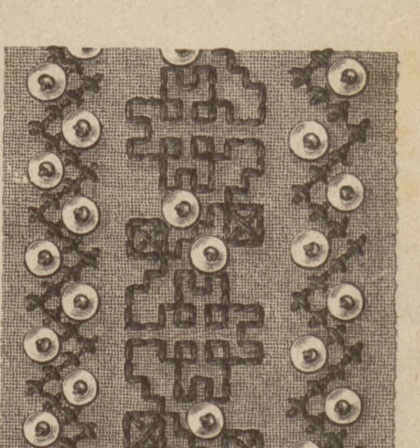
N. 33. Całość serwetki ryc. 17 w N-rze 5.

cyę użyty ciemno żółty atlas; do przyszycia na żyłki i łodyżki służy sznureczek jedwabny blado zielony; do haftu użyta filozela blado zielona. Szlak brzeżny nakształt ramy 25 cent. szerokiej, robi się oddzielnie podług deseniu fig. 40, i po skończeniu części środkowej szlak dodaje się wokoło, wpuszczając brzegi materyału między wierzch i podszewkę kołdry. Baldachim zakończa lambrekina 34 cent.



N. 35. Gwiazdka do ryc. 29.

deseń szlaku do serwetki r. 30, wyszytego czarnym jedwabiem, wązki szlaczek boczny powtarza się na obrębie serwetki 2 c. szerokim, oddzielonym kratką ażurową. Blaszki złote przyszyte ponsową nitką i perełką szklaną bronzową.



N. 38. Szlaczek do serwetki ryc. 30.



N. 36—37. Szlaczki do ryc. 29 -30.

szeroka, z tego samego materyału na tło i aplikacyę co kołdra.



Pl. 636.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.